

DEBIUT POŚWIĘCONY DEPRESJI

„O szczytach
rozpaczy i śmiechu
stewardessy”
– najnowsza premiera
Teatru Nowego – to
spektakl o depresji.

Temat potrzebny,
ale opracowany
bardzo nierówno
– i dramaturgicznie,
i reżysersko,
i aktorsko.

STANISŁAW GODLEWSKI

Na scenie gigantyczna trampolina. Pod nią chowa się kobieta (rozedrgana i dowcipna Dorota Abbe). Cierpi na depresję i śni o tym, że jest stewardessą, mimo paraliżującego lęku wysokości. Na trampolinie preży się mistrzyni świata (Martyna Zaremba-Maćkowska), postać wzorowana na Justynie Kowalczyk. Chwilę później pojawi się także Virginia Woolf (Bożena Borowska-Kropielnicka). Co je wszystkie łączy? Choroba.

Agata Baumgart szczerze przyznaje, że sama cierpi na depresję i zależy jej na zmianie społecznego postrzegania ludzi, których ta choroba dotknęła. Właśnie choroby – a nie „wymyślonego” schożenia, fanaberii, medycznego wymysłu.



Zdjęcie z jednej z prób do spektaklu

Lęki kontra kulturowy mit

Reżyserka, razem z dramaturgiem Michałem Pabianem, próbuje stworzyć formę teatralną, która przy zachowaniu wagi tematu nie byłaby prostą reprezentacją symptomów depresji. Powstaje zatem dziwna hybryda, groteskowe dzieło pozszywane z różnych kawalków, „found footage” – jak piszą sami twórcy.

W „O szczytach rozpaczy i uśmiechu stewardessy” (tytuł nawiązuje do książki „Na szczytach rozpaczy” Emila Ciorana i piosenki „Uśmiech stewardessy” Zbigniewa Wodeckiego) mieszają się różne postaci, różne języki, sceny groteskowe, farsowe,

poważne i tragiczne. Baumgart z Pabianem wkładają do jednego spektaklu niemal wszystkie elementy dyskursu dotyczącego tej choroby: różne postawy radzenia sobie z chorobą, kwestię leków, komercjalizację depresji, jej społeczny i kulturowy mit. To wszystko miesza się, podlane absurdalnymi żartami i czarnym humorem. Forma spektaklu (szczególnie video, ale i niektóre sceny) jest ujmująco naiwna, momentami świadomie prymitywna – tak jakby reżyserowało ją dziecko, które na jednym obrazku chce umieścić wszystko. Ten rodzaj wrażliwości i zapału jest wyjątkowo cen-

ny, a w polskim teatrze szczególnie potrzebny. Ale niestety, jest to także miecz obosieczny – jak się chce poruszyć zbyt wiele tematów, to mało który w pełni wybrzmiewa.

Widać to wyraźnie w obecności scenicznej postaci.

Trzy bohaterki różnych czasów

Stewardesa Doroty Abbe spaja całe przedsięwzięcie, jest główną bohaterką, to w jej głowie mieści się cały sceniczny świat.

Virginia Woolf w wykonaniu Bożeny Borowskiej-Kropielnickiej to prawdziwa petarda. Aktorka urucha-

mia bardzo wiele rejestrów – jest szalona, komiczna, tragiczna, mała i wielka, irytująca i zachwycająca jednocześnie. Borowska cytuje długie pasusy z prozy i esejów Woolf, odgrywa też ironicznie jej kulturowy obraz – znerwicowanej pisarki, która malowniczo tonie w odmętach rzeki. Jest w tym świetna, aż za bardzo, bo postać Woolf zaczyna dominować nad przedstawieniem, przykrywając inne postaci.

Szkoda, że Martynie Zarembie-Maćkowskiej nie dano więcej materiału do grania – jej rola zaczyna się interesująco, jednak zostaje skutecznie przerwana w najciekawszym momencie opowieści. Potem aktorka już jedynie siedzi na scenie i przysłuchuje się koleżankom. Postać sportsmenki, która wydaje się perfekcyjna, niezniszczalna, a która tłumem swoją chorobę, jest wyjątkowo istotna, szczególnie w dzisiejszych czasach i można by ją ciekawiej poprowadzić.

W efekcie powstał spektakl zabawny, potrzebny, ważny i interesujący, jednak nierówny, dramaturgicznie nieprzemyślany – dialogi nie zawsze kleją się ze sobą, tematy zmieniają się dosyć szybko i nie da się tego wyjaśnić jedynie poetyką snu.

Drażni to tym bardziej, że jego forma nie zmieniła się zbyt wiele od czasu, gdy wygrał czerwcową Scenę Debiutów. Wtedy, jako rodzaj wstępu do spektaklu czy szkicu scenicznego „Stewardessa” sprawdziła się świetnie. Teraz, jako pełnoprawny spektakl, wygląda na nie do końca zrobioną.

Tym niemniej znowu Teatr Nowy stał się akuszerem bardzo ciekawego debiutu. ●